

dziennie. Albo też chodzić piechotą? To jest niemożliwe. Chyba od czasu, jak wystąpiłem z uniwersytetu nigdzie nie szedłem piechotą... Jak ja mogę zrywać z Alfredem? Przecież to mój kolega i przyjaciel. T ten wymyśli, że on ciągnie mnie do złego, cóż to czy ja jestem dzieckiem. Wszystko to jej tłumaczyłem, ale na nic.

— Albo — mówiła — zgodzisz się na wszystko, albo rozpoczynam strajk.

Byłem na tyle nieroztropny, że pozwoliłem sobie żartować z niej.

— A no, strajkuj, to będzie zabawne

— Ach, tak, — powiedziała — to do brze.

— No i co?

— Zastrajkowała.

— A w czym się to przejawia?

— W taki sposób, że już trzeci dzień nie żyje, ale się męczy... Pierwszym jej czynem było zamknięcie na klucz wszystkich kufków, szaf, szuflad, nawet w mem własnym biurku. Możesz sobie wyobrazić, w domu niema ani jednej szklanki. Wodę piję pod kranem z dłoni. Wszystkie moje ubrania, za wyjątkiem tego szlafroka są zamknięte, muszę więc w nim paradować po całych dniach. Wykreśliła nawet kurek od samowaru i schowała go. Nie mam ani tytoniu, ani cygar, ani pieniędzy. Nie mam grzebienia do czesania, mydła do mycia, szczotki do zębów — żyję jak dziki człowiek. Wszystko zamknięte.

— A co jadasz?

— Z restauracji na przeciwko przynoszą mi obiad i kolację, ale nie mam ani łyżki, ani widelca, więc jadam jak pies.

— A dzieci?

— Dzieci odesłała do swej matki.

— A ona?

— Ona jest tutaj. Zamknęła się w sypialni i nie wychodzi, prowadzę z nią układy z jadalnego pokoju przez drzwi.

— Może powinienes ustąpić.

— Przecież już ustąpiłem prawie na wszystkich punktach, chcę tylko zatrzymać spanie po obiedzie i cygara. Ale ona ani słyszeć o tem nie chce: „albo wszystko — mówi — albo nic“.

— Nie rozumiem dlaczego nie zawiadomiłeś mnie telefonicznie? Przyniosłbym ci cygara i ostatecznie pieniądze.

— Przecięła druty, telefon nie funkcjonuje; strajk zupełny. Wszystko przewidziała z góry.

— No to wyłam zamek z szafy i idź gdziekolwiek.

— Ale jak się mogę dostać do szafy, kiedy stoi w sypialni, a tam ona siedzi. Drzwi są zamknięte na klucz.

— A co ona je?

— Ma maszynkę spirytusową i wszelkiego rodzaju konserwy. Dzisiaj mi właśnie oznajmiła, że ma żywności na dwa miesiące a przy oszczędnym spożywaniu wystarczy i na cztery.

— Słuchaj, mogłeś mi posłać kartkę bodaj przez Helenkę?

— Nie poszłaby, jest ogromnie steroryzowana.



Pląsy gwiazd filmowych w Hollywood

— Jeżeli tak, to nie masz żadnego ratunku, musisz skapitulować.

— A no już się w zasadzie na to zgodziłem. Nic nie można poradzić, już taki duch czasu, wszędzie strajki. Jeszcze chcę wytargować spanie po obiedzie. Przecież i ona musi coś ustąpić. Chyba i dla niej nie jest rozkoszą, być zamkniętą na klucz, w jednym pokoju z maszynką spirytusową.

Nagle rozległy się tony Straussowskiego walca.

— Co to

— To ona gra; i pianino zaciągnęła do sypialni.

— Kapituluj Hansie — powiedziałem zdecydowany. — Lepiej będzie potem powoli wracać do starych porządków.

Odszedłem późnym wieczorem, uraczony serdecznie zamiast herbata, wodą z dłoni. Nazajutrz posłałem mu cygara, mydło, grze

bień i trochę żywności. Służąca przyniosła mi te rzeczy z powrotem, mówiąc, że pokojówka jej nie wpuściła. Dostałem natomiast list od Meyera.

„Nastąpił pomyślny zwrot. Prowadzimy nareszcie układy. Utargowałem już czwarte cygaro i kwadrans smu po obiedzie. Chcę jeszcze uzyskać powrotny tramwaj. Zmiana nastąpiła dlatego, że popsuła się jej maszynka spirytusowa i konserwy okazały się nieświeże. Myśle, że odczuwa głód.

Twój Hans“.

Dziś rano obudził mnie telefon.

— Strajk skończony — usłyszałem radosny głos Hansa, gdy przyłożyłem słuchawkę do ucha. — Wczorajsze warunki przyjęte, dzisiaj podpisujemy umowę w obecności teściowej, a potem śniadanie. Przychodź.

Nie poszedłem.

Tłum. S. E.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 15 sierpnia 1926 roku.

Nr. 33.

Żniwa się kończą...



Gdy się człowiek tylko wyrwie z pośród miejskich murów, wszędzie na polach spotyka te wdzięczne i miłe dla oka obrazki.

Teatralja.

Ostatnie premjery. — Ze świata. — Dowcip Szekspira. — Pokłosie.

Dwa pozostające wciąż pod Damoklesowym mieczem likwidacji teatry warszawskie wystąpiły temi dniami w szatach premierowych: Teatr im. Bogusławskiego i Teatr Letni. Ogórki na widowni, ogórki — za kulisami, nadają oczywiście i repertuariowi posmaku nieco „ogórkowego”. Tembardziej, gdy aktorzy nie są już pewni dnia ani godziny, kiedy im ojcowie syreniego grodu umiłowane kąty teatralne opuścić każą.

Teatr im. Bogusławskiego, uszczknawszy w ciągu sezonu wawrzynów niemało, dał pod koniec starą i zwietrzałą mocno komedię czeską Bozdech p. t. „Napoleon w szlafroku”. Ciekawość jest wrodzonym instynktem człowieka, zwłaszcza gdy chodzi o „zobaczenie Napoleona w szlafroku, Kleopatry w łazience, albo Mussoliniego przy stole obiadowym. Tym niewątpliwie względem kierowała się dyrekcja Teatru im. Bogusławskiego, odgrzewając na swej scenie temat, wyzyskany daleko lepiej choćby przez Wiktoryna Sardou, albo Bahra. Domyślnie troski wielkiego Napoleona, otoczonego liczną a zaszczytów spragnioną rodziną, miłośki pokątne cesarza Francuzów plus tajemnicza historia jakiegoś skradzionego klejnotu — oto kanwa, na której Bozdech wyszył dość niezgrabnie przed wieloma laty swoją trzyaktową komedię. Archaiiczna jej faktura, przeladowana monologami i komentarzami na stronie, nie może oczywiście podnieść splendoru „Napoleona w szlafroku”, który w tej czeskiej interpretacji wygląda dość nudno i martwo.

Daleko lepszą, inteligentniejszą i nowocześniejszą komedię pióra Tristana Bernarda wystawił Teatr Letni. Lekki a wytworny persiflaż różnych aktualności, wesole żarty z wszystkiego potrosze, ciekawe perypetje mężczyzny, postawionego pomiędzy dwoma kobietami, z których mu wolno wybrać tylko jedną — stanowią wątek i osnowę miłej krotchwili nietyle francuskiego, ile par excellence paryskiego pisarza. Pomimo pewną nonszalanę w potraktowaniu „Figłów politycznych” (taki jest tytuł krotchwili Tristana Bernarda), sporo jest w nich momentów, błyskotliwą inteligencją autorską zaprawnych. Np. scena, gdy redaktor - oskarżony uzyskuje usprawiedliwienie zarzucanego mu przestępstwa z ust kochanki - prokuratora, albo — gdy o jednym i tym samym rozdławającym się mężczyźnie, dwie kobiety wydają pozornie sprzeczne, ale jednakowo i głęboko słuszne opinie. Letnie wywczasy czołowych sił farsowego zespołu nie pozwoliły na wydobyć z krotchwili Tristana Bernarda wszystkich zawartych w niej akcentów dowcipu i francuskiego esprit. W każdym bądź razie sztuka zdobyła sobie powodzenie i utrzyma się niewątpliwie przez czas dłuższy na afiszu Teatru Letniego.

Jeden z teatrów paryskich (Théâtre de la Madeleine) wystawił niedawno sztukę słyn-

nej spółki de Flersa i de Croisseta p. t. — „Docteur Miracle”. Sztuka ta, nosząca stempel pierwszorzędnej wytwórni, jak zresztą prawie wszystko, co dla sceny wspomnianymi autorami napiszą — różni się jednak od dotychczasowego dorobku spółki — fantastycznością tematu. Mimo tę fantastyczność — nie brak oczywiście i „Doktorowi Miracle” szczypty attyckiej soli, w postaci dowcipnie złośliwych aluzji natury politycznej i socjologicznej.

Chodzi mianowicie o to, że młody lekarz Duprat wynalazł niebawem eliksir, leczący wszystkie bolączki ludzi, a — co najważniejsze — zapewniający im matuzalowe lata. Oczywiście w całym kraju wieść o tym wynalazku wzbudza entuzjazm bezgraniczny. Na dr. Duprat syją się błogosławieństwa rodaków, pieniądze wleczonych i

od śmierci zabezpieczonych, ordery i odznaczenia od rządu. Sytuacja ta jednak po niedługim czasie, poświęconym ogólnej refleksji, zmienia się radykalnie. Nietylko przyszli patryarchowie, ale nawet sfery oficjalne poczynają się zapatrywać nader pesymistycznie na wartość i celowość eliksiru dr. Duprat'a. Czy warto wleć pasmo ziemskiej niedoli przez długie wieki, zamiast lat dziesiątki? Co stanie się z awansami w armji i na urzędach? Jakim sposobem dadzą się dzielić majątki pomiędzy kilkuset spadkobierców? Kogo leczyć będą doktorzy?... I tak dalej — cała masa nowopowstających problemów które mogłyby w katastrofalny sposób zakłócić istniejący porządek rzeczy, wśród którego rodzimy się, wzrastamy i umieramy.

Sprawca epokowego wynalazku zrozpa-

czony jest i przygnębiony, nie znajdując z nikąd pomocy i zrozumienia. Wśród najczarniejszej jednak rozpacz dr. Duprat... budzi się z przykrego snu o czarodziejskim eliksirze i w akcesorjach otaczającego — radosnego choć krótkiego życia znajduje pociechę i rekompensatę.

Dowcipna i dobrze zbudowana komedia de Flersa i de Croisseta wywołała duże zainteresowanie i pochlebną ocenę w prasie.

Niedawno zmarła w Londynie najstarsza aktorka angielska, miss Drammond. Rozpoczęła ona karierę sceniczną w r. 1855, zdobywając sobie z czasem wybitne stanowisko wśród aktorów angielskich. Występowała miss Drammond aż do roku 1913. Obecnie tytuł „najstarszej aktorki angielskiej”, do którego przywiązane są różne emerytury i odznaczenia, przeszedł do znakomitej aktorki, Ellen Torry.

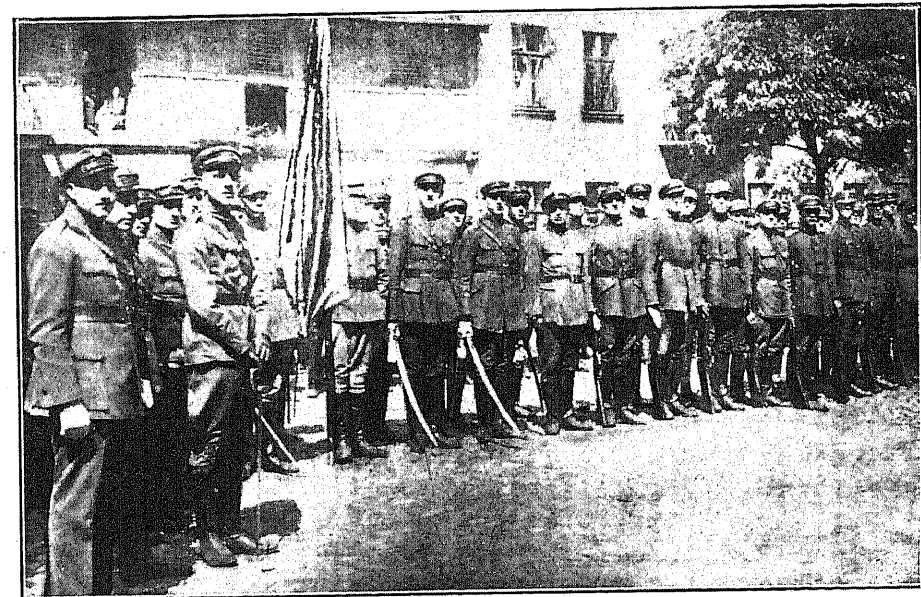
W doskonałym studjum Longwortha — Chambruna o młodości Szekspira znajdujemy zabawną anegdotę, zaczerpniętą z romantycznych przygód wielkiego pisarza — Szekspir i kolega jego, aktor Burbage, zalecali się jednocześnie do pewnej pięknej damy. Zabiegi Szekspira były smaczk skuteczniejsze, gdyż pewnego razu znalazł się sam na sam z swoją donną i bliski już był osiągnięcia upragnionego celu. W tym właśnie decydującym momencie zapukał do drzwi Burbage, który słynnym będąc z grywanej często roli Ryszarda III, zawołał: „To ja — Ryszard III, otworzyć, w imieniu króla”. — „Nie — odpowiedział Szekspir — William Zdobywca (William — imię Szekspira) pannał wszak przed Ryszardem..”

W nr. 25 — 28 „Życia Teatru” ukazał się szereg sprawozdań z działalności ważniejszych teatrów polskich w sezonie 1925/26. Jeden z artykułów jest poświęcony Teatrowi Miejskiemu w Łodzi. Po oddaniu należnego uznania rzetelnej pracy dyr. Szyfina i p. B. Gorceżyńskiego w sezonie ubiegłym, sprawozdanie podkreśla jednak dwa ujemne momenty w działalności teatru łódzkiego, mianowicie: zbyt dużą obfitość gościnn-

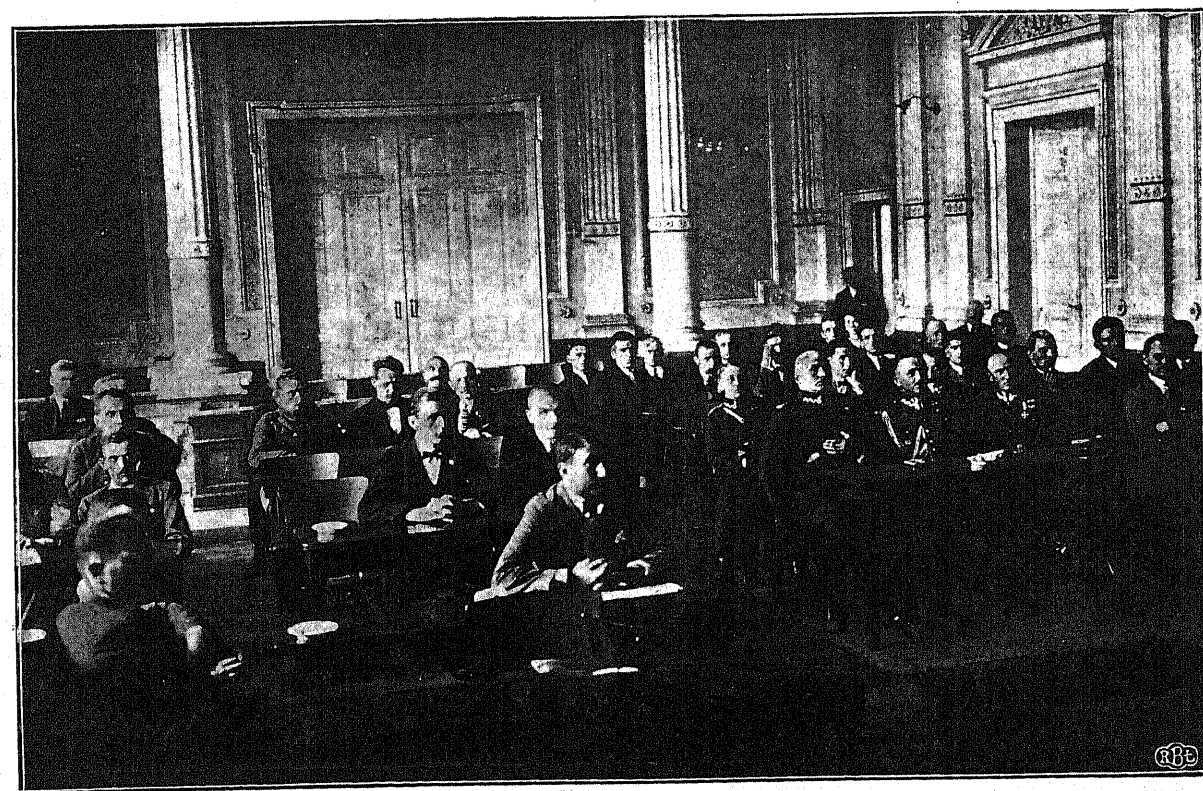
nych występów, demoralizujących publiczność i deprymujących miejscowy zespół aktorski, oraz za daleko posuniętą zależność od teatralnych afiszów stolicy. Nie są to repertuarii od teat. afiszów stolicy. Nie są to grzechy śmiertelne, ani błędy niepowetowane. Należy mieć nadzieję, że po sezonie przyszłym wspominać o tych rzeczach nie będzie już potrzeby.

Delta.

Ze zjazdu byłych legjonistów.



Defilada kompanji strzelców przed komitetem wojewódzkiego zjazdu legjonistów, odbytym w dniu 1 b. m. w Łodzi.



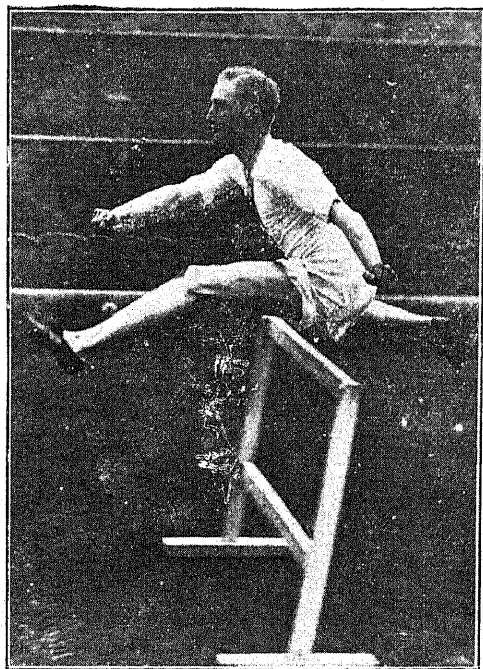
Obrady zjazdu legjonistów w Radzie Miejskiej miasta Łodzi.

Święta Anna.



Rzeźba w kolegiacie sieradzkiej z XV wieku, wykonana przez uczniów ówczesnej miejscowej szkoły snycerskiej.

Por. Orłowski



Lord Burghley bohater międzynarodowych mistrzostw lekkoatletycznych w Angli.



Marszewski mistrz Warszawy w Tennisie.



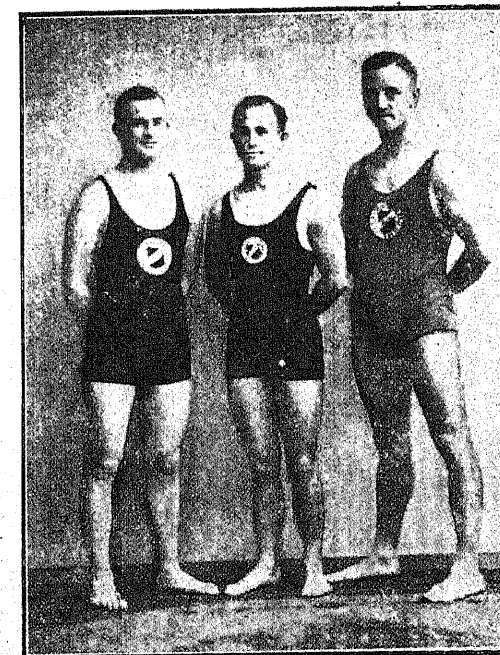
podczas próby broni palnej na zawodach o Mistrzostwo Wł. Polskich.



Drużyny reprezentacyjne Estonji i Polski po ostatnim meczu międzypaństwowym.



St Barany, znakomity pływak węgierski.



Czołowi pływacy niemieccy: od lewej Benecke, Frölich i Rademacher.

Ze świata.



Podróż naokoło świata w łodzi żaglowej długości zaledwie 34 stóp odbył kpt. Harry Pidgeon z Los Angeles (St Zjedn.) Podróżował samotnie i po czterech latach powrócił szczęśliwie do ojczyzny

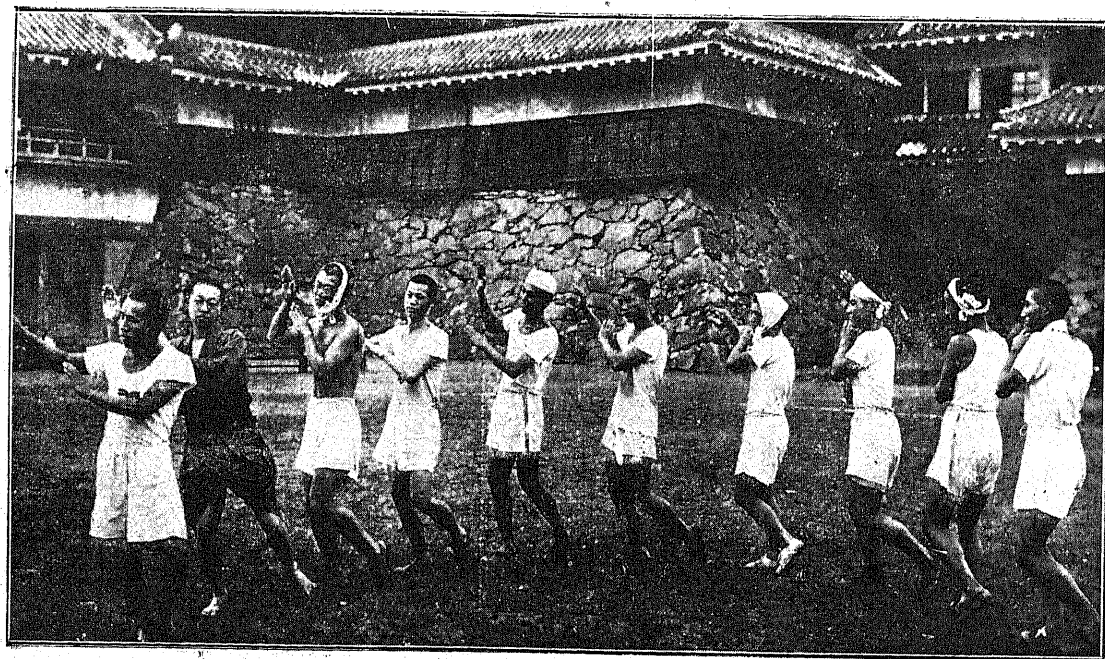
Erica Linsen,



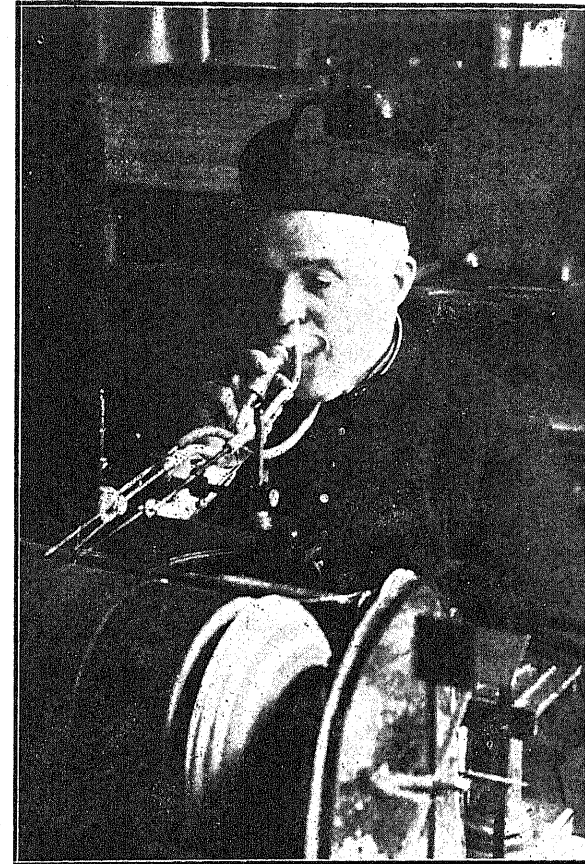
sllyna diva teatrów paryskich w fantastycznym kostumie



Największa książka na świecie znajduje się w jednym z amerykańskich numerów.

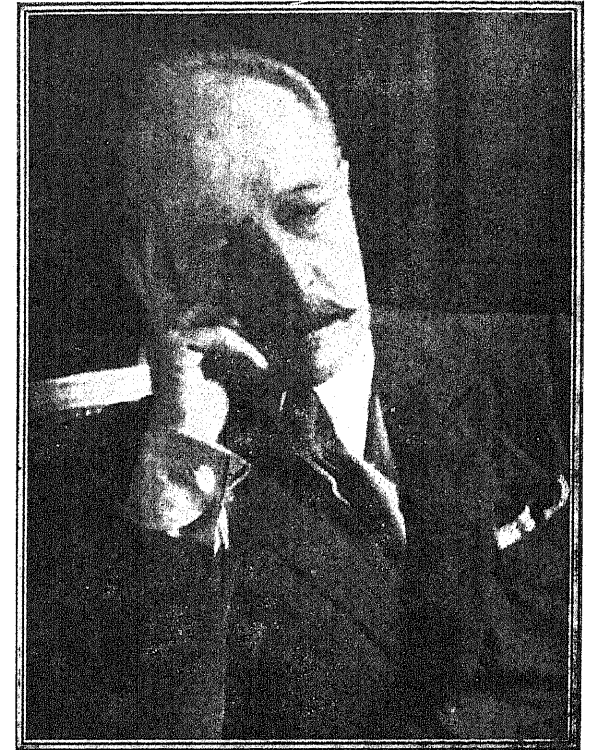


Ćwiczenia drużyn gimnastycznych na olimpiadzie robotniczej, w Wiedniu.



Książd kanonik Meunier, kierownik paryskiej kliniki, poświęconej leczeniu głuchych w swym laboratorium fonetyki eksperymentalnej w Collège de France przy fonometrze.

Marquis Boni de Castellane.



Człowiek, który z wzięciem umiał wydawać pieniądze i roztrwonil 60 milionów franków.

F. S. SINDBAD.

Pierścień Rosenkreutzerów.

— Commandante, zaklinam cię na wszystkie świętości, czy moja żona była u ciebie wczoraj przed godziną 10-tą?

Z tem osobliwym pytaniem dottore Felice Batistella wpadł z samego rana do mego pokoju, nie zważając na głośny protest służącej.

Nie reagując na tę nieobyčajność, przyglądałem się w milczeniu siwiejącemu dottore, którego przed 10-ciu laty poznałem w dalmackim majątku u zaprzyjaźnionego mi Conte Carlitto Maratesta w charakterze prowincjonalnego adwokata i... stręczyciela pieniędzy na % %.

Na krótko przed śmiercią zubożalego Conte starzejący się Batistella pojął za żonę jedyne jego dziecko, młodszą contessinę Margeritte, z którą w swej weselej podróży bawił od kilku tygodni w Wiedniu.

Młoda pani będąc zapaloną okultystką, nie opuszczała ani jednego odczytu, jeśli tylko prelegentem był tam jakiś astrolog, magik czy alchemik. Również w spirytystycznych prywatnych kółkach spotykałem ją często w towarzystwie zazdrośnego małżonka.

Zaledwie od kilku sekund pogrążony byłem w tych wspomnieniach, gdy mój dottore wyksztusił znowu, szlochając niemal:

— Na miłość Boską... mówże... Commandante... zniosę wszystko... przygotowany jestem na najgorsze...!

Już miałem na ustach najgodniejsze z prawdą, uspakajające „nie!”, gdy jakąś niepowstrzymaną i niezrozumiałą pobudką wiedziony, wycedziłem z wolna „tak“.

Siwiejący dottore rzucił się ku mnie z młodzieńczą zwinnością i obejmując mnie — zawołał:

— Dzięki Bogu! Przynajmniej tym razem żona mię nie okłamała!

Serdeczny uścisk reki przy akompaniamencie gradu słów podziękowania oraz przeprosin za tak wczesne najście i Batistella opuścił me domowe progi.

Nadzieja dokończenia w tak osobliwy sposób przerwanej roboty rozwiana została w ciągu kilku minut przez nadobną małżonkę Batistellogo. Z okrzykiem:

— Czy mój mąż był już u pana? — w kilku podskokach stanęła przy mem biurku.

Dowiedziawszy się o odpowiedzi, jaką udzieliłem jej małżonkowi, zawołała rozpromieniona radośnie:

— Duch święty natchnął pana! Jak mam panu podziękować?

— Rozwiązując mi zagadkę tych dwóch porannych wizyt — odparłem zaintrygowany.

— Poznałam — zaczęła ociągając się piękna contessina — przed dwoma tygodnia

mi na jednym ze spirytystycznych seansów księcia Jetzidikurdów. Mimo młodych lat jest już wybitnym magikiem i alchemikiem, niech pan spojrzy — zawołała podniecona, wyciągając bilet wizytowy z torebki.

Zdumiony przeczytałem:

„Principe Abnahaya, księżę Rosenkreutzer, zawodowy magik i prezydent I-szej międzynarodowej alchemicznej centrali na Kaukazie.“

— Istny potop tytułów i godności — mruknąłem, oddając contessinie wizytówkę.

Niestropiona moją złośliwą uwagą paplała dalej:

— Jest on bardzo zdolnym spirytystą: wybitne duchy zapewniły go za pośrednictwem jego medium że przy mojej pomocy uda mu się wielkie dzieło pewnej alchemicznej transmutacji. Tak się dobrze złożyło, że mój mąż musiał dla interesów wyjechać do Szwajcarii. Wczoraj miałam trzecie posiedzenie w laboratorium Abnahay'i. Wróciwszy o godz. 10-ej zastałam męża, który wrócił o jeden dzień wcześniej, niż mi zapowiedział. Rzucił się na mnie jak tygrys z pytaniem, skąd wracam? Musiałam naturalnie powiedzieć, że byłam u pana na studjach astrologicznych — o takiego starszaka jak pan, nie może być zazdrośny. Ma pan całą historję — zakończyła młoda dama, odgarniając z czoła parę niesfornych loczków swemi wąskimi ostro zakończonymi paluszkami prawej arystokratycznej rączki.

Na czwartym palcu zabłysł w promieniach słońca mały krzyżyk złożony z dwóch rzędów brylancików czystej wody, z małą rubinową różyczką artystycznie wprawioną pośrodku.

Olśniony wpatrywałem się z zachwytem we wspaniałą pierścionek. Co widząc contessina objaśniła mię:

— Jest to spadek po mojej rodzinie, zażytek z wieku XVII. Pierwszy jego właściciel, przodek mojej matki nosił nazwisko Rosenkreutzerów. Dzięki magicznej sile tego pierścienia udało się mu dokonać parę alchemicznych transmutacji — Abnahay'i również przyniesie mój pierścionek szczęście! Jemu, księciu Rosenkreutzer.

— Czcigodna contessino, pozwól starcowi, który był przyjacielem twego ojca, nim jeszcze na świat przyszedł, zalecić ci ostrożność w stosunkach z egzotycznymi książętami, magikami i alchemikami!

Contessina niezadowolona, wstała pośpiesznie z fotla i podając mi rączkę na pożegnanie odcięła się:

— Carissimo, commandante! Na wypadek gdybyś potrzebowała rady, zjawię się znów tu u pana!

Wypadek ten zdarzył się nie dalek, jak w trzy dni po rozmowie powyższej.

— Wczoraj wieczorem — opowiadała, szlochając nieledwie contessina — podczas

spirytystycznego seansu wśród ciemności pierścionek nagle zsunął jej się z palca. Wielkie duchy oświadczyły jej wprawdzie za pośrednictwem medium Abnahay'i, że pierścionek musiał wrócić do swego pierwszego właściciela, do jego trumny w grobowcu rodzinnym. Tam jest miejsce dla pierścienia Rosenkreutzerów wedle surowych zasad magicznych i wszelkie poszukiwania mogą jedynie sprowadzić nieszczęście. — Niech mi pan poradzi, co mam robić. Nie mogę się pogodzić ze stratą pierścienia!

Poradziłem jej bez wahania, aby swemu małżonkowi, który znów był w Wiedniu nieobecny, natychmiast po jego powrocie opowiedziała całą historję. Może mu się uda, jako prawnikowi, wydobyc pierścionek z grobowca Rosenkreutzerów i żonie przywrócić.

Z ciężkim sercem, contessina opuszczając moje starokawalerskie mieszkanie, obiecała mi solennie pójść za moją radą.

W tydzień potem spotkałem się z nią na mym zwykłym rannym spacerze. Prosiła mię abym jej towarzyszył do lombardu, gdzie miała wykupić pierścionek Rosenkreutzerów.

— Oto wszystko, co się udało memu mężowi uzyskać od Abela Heuera z Galicji — dodała, pokazując mi kwit lombardowy — poprzestał jednak na tem, bo nienawidzi skandalów.

— Nietrudno mu zresztą pierścionek wykupić — podczas ostatniej haussy sprzedał w porę magnezyt zarabiając na tem grube pieniądze.

— Abel Heuer z Galicji? — zapytałem.
— Tak. Jest to prawdziwe nazwisko, jak wykrył nasz prywatny detektyw, prezydent pierwszej międzynarodowej alchemicznej centrali na Kaukazie. Niegodziwy hul-taj ze swymi wielkimi duchami!

— A jednak — zwróciłem uwagę rozgniewanej contessiny — przepowiednia wielkich duchów o znamiennej transmutacji sprawdziła się.

— Jakto? — zawołała contessina zaperzona.

— Wszakże Abnahaya przeobraził pierścionek w kwit lombardowy, a contessina w tej chwili zamierzasz przeobrazić go znów w klejnot swych przodków.

Sliczna contessina wydeła swe pasowe pełne wargi w pogardliwym uśmiechu.

Milcząc doszliśmy do lombardu. Wówczas żegnając się, dodałem jeszcze:

— Ta transmutacja udała się, na przyszłość jednak, contessino, nie igraj z pierścieniem Rosenkreutzerów!

Tłum. Jotsaw.



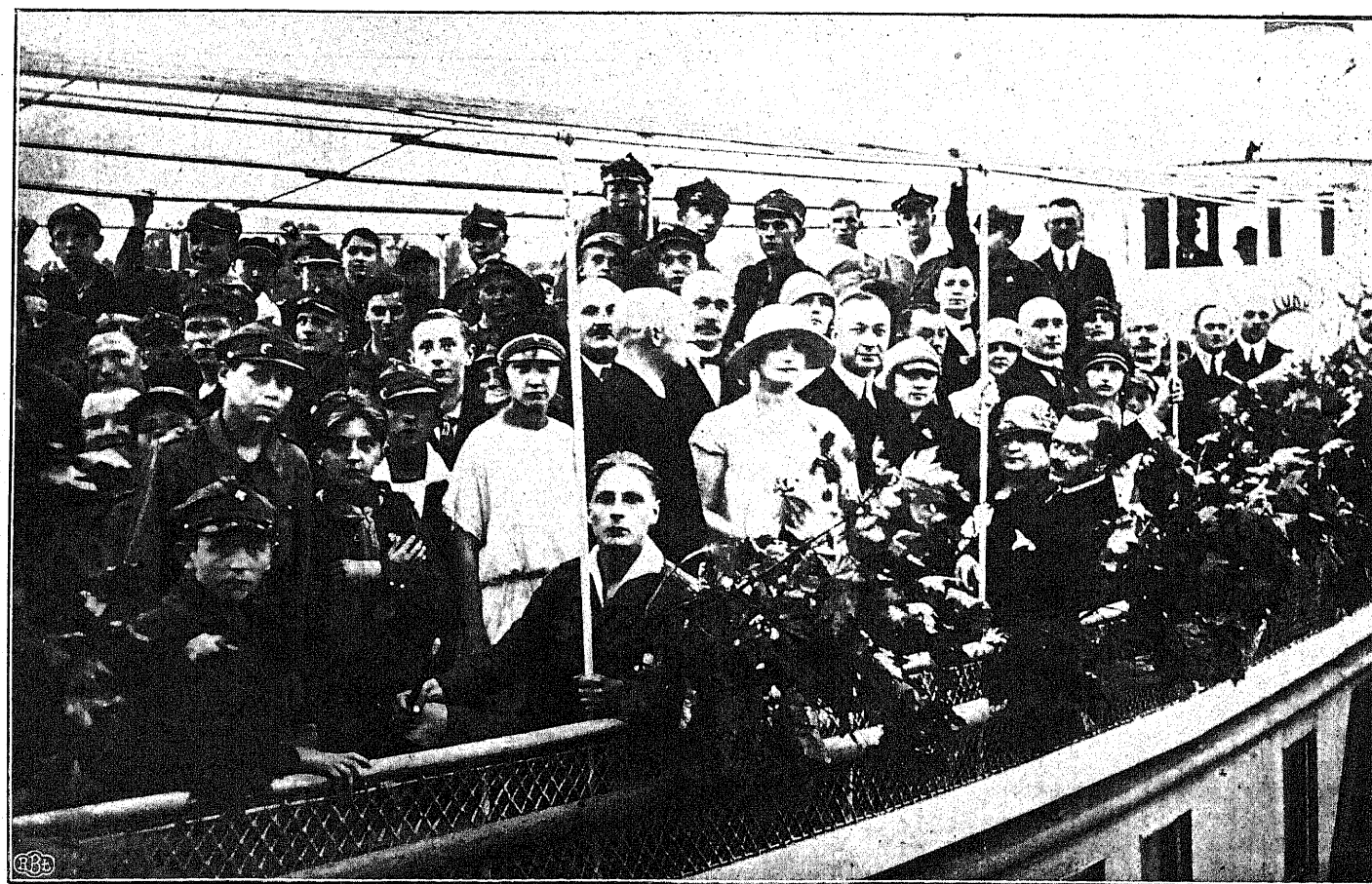
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 22 sierpnia 1926 roku.

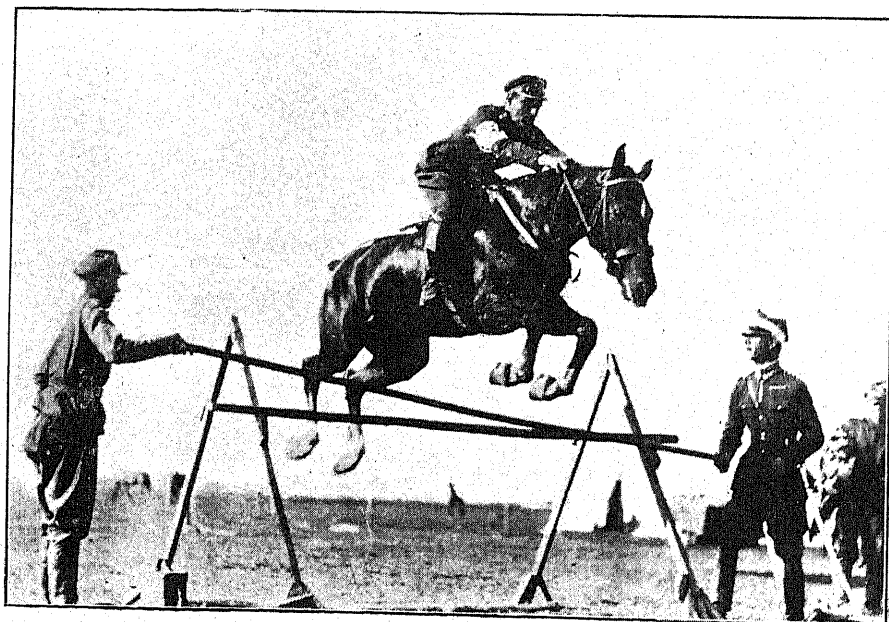
Nr. 34.

Z biegiem Wisły.



Wycieczka łódzkiej drużyny harcerskiej im. Mickiewicza na statku w porcie Torunia.

Z zawodów konnych w Warszawie.



Rtm. Kon baruje „Chewin Duke pod rtm.” Mitraszewskim.